

Władysław Bartoszewski

Traumatyczne doświadczenia między narodami i pokoleniami

Symposium Kraków-Bethel-Bochum. (Szpital Babińskiego 30 czerwiec 2005r.)

Temat mojego dzisiejszego wystąpienia jest określony w zaproszeniach zgodnie z tematem całej sesji jako "Traumatyczne doświadczenia między narodami i pokoleniami". Ja bym do tego dodał podtytuł "Refleksje świadka epoki", nie jestem bowiem ani psychiatrą, ani psychologiem ani socjologiem. Jestem historykiem dziejów najnowszych. a przede wszystkim świadkiem epoki. Tak się nie z mej woli złożyło, że moje dorosłe życie, które zarówno w Niemczech jak i w Polsce przyjmuje się formalnie od 18 lat, zaczęło się od doświadczeń traumatycznych. Doświadczeń traumatycznych, które muszą zostawiać jakieś skutki w pamięci i w myśleniu, ponieważ było mi dane w moim dotychczasowym życiu spędzić 8 lat w różnego rodzaju więzieniach i obozach w hitlerowskich i komunistycznych. I u każdego kto by się z tym zetknął takie skutki pozostawiałyby.

„Miara zła” – o dwóch totalitaryzmach

Pierwszy raz straciłem wolność mając lat 18-cie. Ostatni raz mając lat 60. Także pomiędzy tymi datami rozpina się wiele doświadczeń i życia dość urozmaiconego. Oczywiście to skłania każdego chyba myślącego człowieka do refleksji. Jak do tego mogło dojść, dlaczego tak się w ogóle stało - nie ze mną XY- tylko w ogóle z ludźmi, w tym miejscu świata, z bardzo wieloma ludźmi. Gorzej bo ja żyję a bardzo wielu ludzi, których znałem, nie dożyło ani sędziwego wieku ani nawet dojrzałego wieku gdyż poginęli jako ludzie młodzi. I to też należy do mojego doświadczenia życiowego. Między 18-tym a 33-cim rokiem życia przeżyłem już 6 i pół roku w więzieniach i obozach, totalitarnych. Jeżeli sięgnąć do, ostatniej za życia wydanej, publikacji Karola Wojtyły, Jana Pawła II, która jest znana również w Niemczech pod tytułem "Pamięć i tożsamość" to w tej publikacji znajdziemy jeden rozdział, bardzo nieduży, ma kilka stron, który nosi tytuł "Miara zła". Mój rodak i rówieśnik, starszy ode mnie kilkanaście miesięcy Papież, pokoleniowy rówieśnik, miał podobne pokoleniowe obserwacje, choć nie identyczne doświadczenia, bo akurat nie był w tych więzieniach, w których ja byłem. W tym krótkim rozdziale "Miara zła" wskazuje na wiek XX, wiek doświadczeń z dwoma totalitarnymi systemami - z hitleryzmem i z komunizmem. Wymienia je na równi obok siebie, tak jak Pius XI w 1937 r. w encyklice „Mit brennender Sorge” a w tydzień później w encyklice „Divini Redemptoris” mówił o niebezpieczeństwie hitleryzmu i niebezpieczeństwie komunizmu dla ludzkości. Powiedział to wtedy, kiedy politycy brytyjscy i francuscy uważali, że można pertraktować z Hitlerem i pomogli mu nawet do rozbioru Czechosłowacji w 1938r. Jedyny głos ostrzeżenia z Watykanu, oczywiście nie był brany pod uwagę. Tu tak się dziwnie zamyka klamra, że ten zmarły kilka tygodni temu ledwie Papież, w marcu, wziął do rąk, trzy tygodnie przed śmiercią, polskie wydanie swojej książeczki-ostrzeżenia. „Miara zła” to doświadczenie totalitaryzmów przez całe kolejne generacje. Obejmuje doświadczenie bynajmniej nie tylko Polaków, również doświadczenie Niemców z dawnego NRD, Czechów, Słowaków, Węgrów, Rumunów, Bułgarów, Baltów, Ukraińców, Białorusinów, dotyczy więc wielu narodów, które nie ze swej woli, pozbawione zostały prawa do wolności i do poszanowania ich ludzkiej godności. To nie mogło zostać bez wpływu na dzieje. Jeżeli w małej książeczce to twierdzenie jest zawarte,

to znaczy, że uważał je autor za testamentarnie niezmiernie ważne stwierdzenie. Ja z całkowitym przekonaniem podzielam Jego pogląd.

Polska zna oba totalitaryzmy

Jeżeli wrócimy pamięcią do traumatycznego doświadczenia Polaków z obozami koncentracyjnymi i deportacjami w głąb Związku Sowieckiego, jeżeli równocześnie sobie uprzytomnimy, że dzisiaj tam, w Moskwie, niedostrzegany jest pakt Ribbentrop – Mołotow, który przyniósł tajne protokoły mówiące o wspólnym zwalczaniu wszelkiej polskiej irredenty. To jest w Niemczech publikowane, w Republice Federalnej w dawnych granicach - od lat, dla obywateli pięciu nowych landów oczywiście to jest nowość, bo nie mogli tego czytać, ale teraz jest to powszechnie wiadome. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że w kwietniu 1940r. zapadła ostateczna decyzja i rozpoczęto pierwsze przygotowania do otworzenia systemu obozowego Auschwitz i także w kwietniu 1940 r. KGB wykonało zbrodnię masową w Katyniu, to oczywiście może to być przypadkiem. Wszystko może być przypadkiem, dopóki się nie udowodni, że przypadkiem nie jest. Ale opiera się to o tajny załącznik do protokołu, który mówi o uzgadnianiu metod zwalczania zagrożenia ze strony buntujących się Polaków.

Jeśli się to wszystko weźmie pod uwagę, to proszę zrozumieć, że u Polaków, przy pewnych wypowiedziach szefa państwa na wschodzie i pewnym lekceważeniu znaczeniu tej wypowiedzi przez Niemcy i Francję powstaje nowa trauma, nowy niepokój, nowe podekscytowanie wynikające z bardzo niedawnych doświadczeń historycznych. Nie dlatego, abyśmy się bali. Nie dlatego, że my wiemy rzeczy, których nie wie czy nie rozumie wielu Szwajcarów, Szwedów, Hiszpanów, a nawet Francuzów i Anglików. Prostu dlatego, że jesteśmy mądrzejsi. I powiedziałbym - odwołując się do własnych wspomnień - miałem niespełna lat 17 (dokładnie 16 i pół) i miałem zdawać za kilka miesięcy maturę, kiedy Chamberlein porozumiał się z Hitlerem jesienią w 1938 r. Wtedy nie było telewizji, ale były „Wochenschau-y” - dodatki filmowe. W kinie oglądałem jak Chamberlein wysiada z samolotu na lotnisku w Londynie, trzymając w ręku zwitek papieru i mówi "Uratowałem pokój". A my 16-sto, 17-sto letni chłopcy w Warszawie mówiliśmy "To jest idiota. Hitler napadnie wszystkich i to bardzo szybko". Był to 1938 rok - jesień. Myśmy wtedy też więcej wiedzieli, i my jesteśmy do dziś w Polsce – bez względu na różnicę poglądów politycznych- z tego dumni, że myśmy pierwsi powiedzieli w Europie Hitlerowi "NIE. DALEJ NIE". Zapłaciliśmy za to straszną cenę i odczuliśmy osobistą nienawiść tego człowieka. Mieliliśmy wówczas rację i byliśmy tym czynnikiem wczesnego ostrzegania. I teraz proszę sobie wyobrazić losy, na przykładzie życia jednej generacji.

Jak kończyła się II wojna światowa

Kończy się ta II wojna światowa, a ja przeżywałem przejście frontów w Krakowie. Usiłuję wrócić do normalnego życia, lecz już w 1946 roku tracę wolność i następne młode męskie lata od 24 do 32 roku życia siedzę w komunistycznych więzieniach. Z polskimi więźniami politycznymi, ale i ze zbrodniarzami hitlerowskimi. Na moim korytarzu więziennym siedzi komendant Oświęcimia Hess. Ja go codziennie rano słyszę jak się głośno melduje przy apelu, a po pewnym czasie siedzę w jednej celi z SS-Hauptsturmführerem Erichem Engelsem - skazanym na śmierć, który czeka na wykonanie wyroku. To była nagroda za zaangażowanie na rzecz niepodległości i wolności Polski. Nie dla mnie a dla tysięcy ludzi. Przez więzienia komunistyczne przeszło w Polsce prawie milion ludzi, przy ówczesnej 22 milionowej całej

populacji w Polsce licząc starców i dzieci. Zginęło kilkadziesiąt tysięcy z rąk polskiego KGB, Służby Bezpieczeństwa (odpowiednika Stasi w NRD) i to jest dalsze narastanie traumatycznych doświadczeń u tej samej generacji. Ci ludzie są wówczas ledwie dwa do pięciu lat starsi od czasu doświadczeń z narodowym socjalizmem. Oni w ogóle nie weszli w wolne życie, tak jak nie weszła w wolne życie społeczność „sowjetische Besatzungszone” - późniejszej NRD, która jako kontynuację jednego systemu totalitarnego otrzymała następny system autorytarny. A potem my się dziwimy, że ta grupa ludzi po następnych 50-ciu latach myśli inaczej niż ludzie w Hamburgu, Düsseldorfie, Kolonii czy Monachium. To jest zupełnie normalne. Jeżeli by kogoś skępować bandażami, albo w jakiś inny sposób np. gipsem na 50 lat, czy on byłby normalny po zdjęciu tych bandaży?, czy on by się normalnie ruszał?, czy on byłby porównywalny z normalnie rozwijającym się człowiekiem?

A bandaż na mózgu?, a bandaż na oczach? a unieruchomienie ruchowe?, a brak dialogu? a brak oświaty, wychowania? Brak tego co się nazywa „geldunzählbar” w Niemczech (nieprzeliczalne na pieniądze)? No to co? Czy to pozostaje bez śladu? Nie. Nie pozostaje bez śladu i nazwał to w sposób genialny wybitny polski uczony, filozof i teolog, zmarły przedwcześnie ksiądz prof. Tischner, przyjaciel zmarłego Papieża, znany bardzo dobrze w Austrii, trochę również teologom w Niemczech. Ukuł termin "homo sovieticus", który siedzi w ludziach, który pozostał w ludziach w wyniku tego okresu. Bynajmniej nie tylko w Polsce, ale Polska była w stosunku do wszystkich innych zniewolonych krajów bloku wschodniego krajem największym. Wobec tego jest to przykład szczególnie u nas znany. No i dobrze. Przeżyłem to wszystko i musiałem szukać drogi wyjścia z tych traumatycznych doświadczeń.

Zrozumieć jeden i drugi totalitaryzm – wina, wybaczenie, pojednanie

Od połowy lat 70-tych wykładałem na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie przez szereg lat polskim studentom najnowszą historię Polski i Europy. A w Niemczech przez 12 semestrów wykładałem od roku 1983 nauki polityczne, w bardzo pięknej instytucji „Geschwister Scholl Institut für Politische Wissenschaft” na Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana w Monachium. Rodzeństwo Scholl to moi niemieccy bohaterowie, moi rówieśnicy pokoleniowi. To ludzie, w których widziałem jakieś inne Niemcy, w które zawsze wierzyłem i nie rozumiałem jak do tego mogło dojść, to do czego doszło. Starłem się wobec tego po wojnie, w ramach mojej własnej pracy nad sobą, zrozumieć. Najpierw dotyczyło to Niemiec, nie komunizmu. Bo aby zrozumieć komunizm, można było podjąć pracę wewnętrzną dopiero, kiedy on upadł. Wówczas utworzono takie instytucje jak Instytut Gaucka w Niemczech, a u nas Instytut Pamięci Narodowej. Udostępniono akta i archiwa. Historyk ani nikt odpowiedzialny nie znając ich, nie może wyciągać finalnych wniosków. Może się interesować sprawą, ale nie może o niczym stanowczo mówić. Otóż, to przyszło później. Pytano mnie nieraz w Niemczech, dlaczego Polacy są skłonni jednać się z Niemcami a nie są skłonni jednać się ze Związkiem Sowieckim? Zawsze odpowiadałem: Niemcy od czasu Adenauera bez względu na rządy, proporcje sił w Bundestagu i wpływy poszczególnych partii politycznych, stały na stanowisku, że narodowy socjalizm był nieprawością i zbrodnią. Stały na stanowisku potępienia go jednoznacznie, bez względu na odcień partii politycznej, która była u władzy. Stały na stanowisku, że to było zło. Uznały fakty. Natomiast na wschód od Polski do 1991 twierdzono, że Katyń zrobili Niemcy. Nie można na gruncie kłamstwa budować dialogu, ani dopatrywać się w sobie chęci do odpuszczenia, do przebaczenia. Jakie tu drogi wewnętrzne?

Żyłem w Niemczech 7 lat i wielu Polaków mnie pytało "czy ty im wybaczyłeś?" A ja byłem w 1965r. na Trybunie we Frankfurcie nad Menem w czasie Procesu Oświęcimskiego.

Przyglądałem się tym niektórym sprawcom, również znajomym, i zastanawiałem się: oni się mają dobrze, dużo lepiej niż Niemcy w NRD czy Polacy w Polsce, są zadowoleni, dobrze wyglądają, są dobrze ubrani, niektórzy żartują, kara śmierci im nie grozi, torturować ich nikt nie będzie, bić ich też nikt nie będzie, prasa międzynarodowa jest obecna, rodziny ich przychodzą, podczas przerwy chodzą do kafeterii. Jakie to jest poczucie zamieszania wewnętrznego w człowieku, który wie, widział, zna i patrzy. I odpowiadałem moim rodakom tak: problem pamięci jest poza dyskusją. Nigdy nie zapomnę, wcale nie chcę zapomnieć. A problem wybaczenia to jest dla chrześcijan problem indywidualnego uznania faktu. Bo w prawdzie protestanci nie mają spowiedzi usznej, katolicy mają spowiedź uszną, ale zawsze zakłada się uznanie winy i wyrażenie w taki czy inny sposób chęci naprawy, czy żalu, czyli wyciągnięcie ręki. Ja nie spotkałem się w Niemczech nigdy z nikim, który by do mnie w ciągu siedmiu lat mego tam pobytu przyszedł, albo napisał list i powiedział: panie Bartoszewski, pan siedział w kacie jak pan miał 18, 19 lat, pan nie jest żaden dziki Azjata ani komunista nawet. Pan jest normalny chrześcijanin i przyjaźnie usposobiony do Niemców, pan nawet po niemiecku mówi, czyli wychodzi na to, że nie jest pan Untermenschem. Mnie jest bardzo nieprzyjemnie. Wierzyłem w to, byłem w SS. Ja akurat nie byłem w Oświęcimiu, ale chcę Panu zakomunikować, że ja żałuję tego co było.

Takiego przypadku ja nie przeżyłem. Więc co mam biegać za ludźmi na ulicach czy w autobusie i im wybaczać? To są sztuczne wtedy twory pojęciowe, to jest wirtualne mówienie. Bardzo wzniosłe, ale tu nie ma żadnej treści, bo do pojednania ludzi, którzy się nawet w knajpie pobiją po twarzach, po pijanemu, to musi ktoś przyjść potem i powiedzieć: "Słuchaj, byłem zdenerwowany. Dajmy sobie spokój. Przepraszam Cię. Wyciągam rękę". Bez tego się nie pojednają. To jest bardzo prosta ludzka sprawa, ani polska ani niemiecka.

Jeżeli nie ma najmniejszego osobistego aktu woli, to muszę patrzeć na akt woli państwa, parlamentu, kościołów, organizacji społecznych. Te akty woli w Niemczech były. I to stworzyło możliwość pojednania, na rzecz którego pracowałem od początku lat 60-tych będąc wtedy dziennikarzem w „Tygodniku Powszechnym”, w Krakowie, w którym moim starszym niewiele kolegą po piórze był Karol Wojtyła. Działaliśmy pod Jego opieką, potem jako Arcybiskupa, potem Kardynała, w tym samym kierunku myślowym: trzeba budować dobro dla przyszłości nie zapominając o tym co było złe w przeszłości, ale nie uogólniając i personifikując odpowiedzialność jak jest w zwyczaju w demokracji i w cywilizowanym świecie. Winien jest ten, który jest osobiście winien, któremu można winę udowodnić, inny nie jest winien. Moralne jego myślenie o życiu, jego ludzka kondycja to inna sprawa. To zależy: poeta będzie odczuwał inaczej, filozof inaczej, a stomatolog może inaczej - powie np. tak: ja nikomu nie wybiłem szczeni ani nie wyłamałem złotych zębów, to dlaczego macie do mnie pretensje? Można sobie to wyobrazić, ale to są inne wymiary spraw.

Przewyciężyć Auschwitz w sobie

Moja próba przewyciężenia Auschwitz, zaczęła się więc przede wszystkim z powodzeniem od tego, że byłem czynny. Ponieważ po wyjściu z Auschwitz zająłem się w ramach polskich tajnych struktur ruchu oporu podległego rządowi polskiemu w Londynie, gromadzeniem dokumentacji zbrodni hitlerowskich, czymś w rodzaju kontrwywiadu wobec Gestapo w Warszawie i zająłem się też w roku 1942, wspólnie ze starszymi ode mnie ludźmi, organizowaniem instytucji społecznej pomocy Żydom, która pod nazwą "Żegota" przeszła do historii i jest zarówno w niemieckim wydaniu encyklopedii Holocaustu, jak izraelsko-amerykańskim wydaniu encyklopedii Holocaustu. Jest również osobne hasło dotyczące mojej

skromnej osoby, w tych obu encyklopediach: i izraelsko-amerykańskiej i niemieckiej. Po prostu, to byli ludzie szczególnie nieszczęśliwi, a ja miałem szczególne doświadczenia, co im grozi. Ta groza nie była od razu jasna, i bynajmniej nie była od wszystkim wiadoma. Dla nas był to wyścig z czasem o ratowanie każdego człowieka. Uratować można ich było tysiące, a zginęły miliony. Ale tysiące można było uratować i nie byłyby uratowane bez ryzyka tych ludzi, których w Izraelu nazywa się „Hasidei umot haolam”, „Gerechte unter den Völkern der Welt” "sprawiedliwi między narodami świata", "Righteous among nations" i którzy są tam wysoko szanowani. Dzisiaj w Izraelu jest ustalone ponad 6 tys. nazwisk polskich - niekiedy całych rodzin - ludzi, którzy próbowali zrobić to, co ludzie czynić powinni. To jest mało, czy to jest dużo? Wobec wymiaru zbrodni jest to bardzo mało. A wobec doświadczeń ludzkości, to przecież nie my wymyśliśmy, ale wszyscy znamy Biblię - czy jesteśmy protestantami czy katolikami - Miasto Sodoma zginęło, bo nie znalazło się dziesięciu sprawiedliwych. Tu się znalazło tysiące sprawiedliwych, i może dlatego nie zginęliśmy i czujemy się moralnie nieco lepiej, a Sodoma zapadła się - jeśli wierzyć Biblii - w głąb morza Martwego.

Odreagowanie poprzez czynną postawę, poprzez opór, poprzez działanie pomogło mi do przezwyciężenia własnego doświadczenia obozu. Chcę powiedzieć bardzo szczerze: jak miałem lat 19-cie, kiedy wyszedłem z Oświęcimia, obciążony byłem problemami komunikacji z moimi rówieśnikami. Bo moi rówieśnicy, w moich oczach, to były dzieci, a ja byłem starcem. Oni nic nie wiedzieli, oni nic nie rozumieli, a ja nie mogłem tego opowiadać. Ja moim własnym rodzicom, mojej matce i ojcu, opowiadałem minimalnie. Matka jak matka: a bardzo byłeś głodny?, zimno ci było?. Była urzędniczką, księgową, inteligentną kobietą, ale ona sobie nie mogła wyobrazić moich obozowych doświadczeń. A ja je nosiłem w sobie. Na moich kolegów i koleżanki patrzyłem z rozczuleniem. To wpłynęło w sposób istotny nawet na moje życie osobiste. Ja mógłbym wejść w porozumienie z kobietą starszą ode mnie o 10 lat może, a może i więcej. Wykształconą, mądrą, ale nie z rówieśnicą. To było dla mnie dziecko. To było szalenie skomplikowane, bo to uwarunkowało mój stosunek do życia. Psychiatra to zrozumie, psycholog to zrozumie, że ja byłem "młody-stary". I nie ja jeden. Ci inni zwolnieni, a były ich jednak setki, czyli Ci którzy przeżyli i wyszli w 1944 czy 45 roku., przeżyli w tym obozie czy w innych obozach uwolnionych w Niemczech Zachodnich przez Amerykanów, Anglików, w Niemczech Wschodnich przez Armię Czerwoną. Oni wszyscy byli "normalnie nienormalni", w jakiś sposób nienormalni. A co dopiero mówić o tym małym procencie ocalałych Żydów, kiedy dziewięćdziesiąt kilka procent wywiezionych z ich rodzin nie żyło. Mam w Warszawie kolegę, wywiezionego z Łodzi do Oświęcimia - Żyda, inteligenta, dziennikarza. Pojechał do Oświęcimia z matką, ojcem i młodszym rodzeństwem. Matkę, ojca i młodsze rodzeństwo zabito, a jego użyto do roboty - jego jednego. Stracił całą rodzinę. Podobnie stracił ją Elie Wiesel - laureat Nagrody Nobla. Podobnie straciło wielu innych ludzi. Czy ja mógłbym od niego nawet wymagać, aby on ze mną o tym rozmawiał?

Powszechne milczenie i jak je przełamano

Wszyscy Państwo zapewne znacie film "Pianista". Tak się składa, że bohater tego filmu, prototyp Władysław Szpilman, był moim przyjacielem, starszym ode mnie. Rozmawialiśmy wiele godzin ze sobą o jego przeżyciach, zanim był film i zanim była książka. Jak twierdzi jego żona, która żyje do dziś, doktor medycyny, rozmawiał ze mną więcej niż z nią. On ją poznał po wojnie, ona była nie Żydówką i on nie opowiadał o tym co przeżył. A jego dorosły syn, lekarz dentysta, który żył w Hamburgu, a teraz żyje w Szwajcarii powiedział mi, że on się od ojca

dowiedział o jego przeżyciach (tych rzeczach) gdy był już studentem. Nigdy o tym przez życie nie rozmawiał. A ja widocznie byłem mu jakoś bliski. Mógł się ze mną wygadać i ja mogłem z nim. Bo myśmy wprawdzie z różnych stron muru getta, ale znali te same sprawy. I ja takich ukrywających się jak on miałem też, i ja się o nich martwiłem i bałem. Myśmy się doskonale pomimo różnicy wieku dobrze rozumieli. Dla mnie pozytywnym wstrząsem było, kiedy po jego śmierci w lipcu 2000 roku żona jego zadzwoniła, że jego życzeniem by było, abym to ja przemówił nad grobem. I byłem jedynym człowiekiem, który na życzenie rodziny przemawiał nad grobem "prototypu Pianisty". Te doświadczenia traumatycznie więzione w sobie, nie przekazywane nawet niekiedy dzieciom, żonie, innemu otoczeniu, są bardzo charakterystyczne szczególnie dla ofiar Holocaustu, Shoach, szczególnie gdy potracili większość rodzin, niekiedy założyli nowe rodziny. Z tą nową rodziną nie rozmawiało się o tej zamordowanej pierwszej żonie, dzieciach, rodzeństwu. Mówiło się o ich życiu. To jest i w Izraelu i w Diasporze, to jest bardzo typowe zjawisko. Ja się z nim jako historyk i autor książek na tematy historyczne stykam do dziś, i mam z tym do dziś do czynienia.

Wojna, jej wynik dla tej części Europy i ta dalsza faza zamkniętych ust, skrępowanych rąk, uniemożliwiała normalne odreagowanie. O ile można było ludzi reedukować w Republice Federalnej i Adenauera i jego następców, o tyle nie można było reedukować ludzi u Ulbrichta, Piecka, Honeckera ani u Bieruta, Gomułki i innych polskich odpowiednich polityków, ani w Czechosłowacji, ani nigdzie indziej, bo na miejsce jednych kłamstw obowiązywały inne kłamstwa, albo półprawdy i to oczywiście absolutnie zniechęcało do dyskusji, do dialogu. Bo nie mogło być przecież uczciwego dialogu. Nie było otwarcia między ludźmi w tych wszystkich krajach. Czyli z góry uniemożliwione wyjście z traumy. W państwie Izrael z kolei z innych powodów przez szereg lat milczano. Proces Eichmana był przełomem. Po nim zaczęto mówić o tych doświadczeniach obozowych, więziennych. Przed tym - mało. Znałem ludzi, którzy wyjechali z Polski do Izraela, i tam w ogóle nie rozmawiali o swoich doświadczeniach obozowych, więziennych, gettowych. Dopiero później, później na starość po wielu latach wrócili do tego. Dzisiaj żyją, chętnie o tym piszą, mówią, zostawiają dzienniki, zapiski, są publikowane nowe książki. Co pomaga przy wyjściu z traumy? Prawda, zrozumienie i dobroć. Maksymilian Kolbe to na pewno nie jest działanie całego narodu, ale te tysiące ludzi -i protestantów i katolików- którzy się w oparciu o intencje chrześcijańskie zaangażowali się na rzecz opieki nad byłymi, starymi i chorymi więźniami zrobiło niesłychanie dużo. A te tysiące rodzin niemieckich, które w okresie biedy w Polsce w roku 1980 i 81 przysyłało paczki żywnościowe albo z lekarstwami, albo z pożywkami dla dzieci. Oni w Polsce wywołali zupełnie odwrócenie obrazu narodu - bo nikt nie musiał. Co więcej, ówczesny rząd Helmuta Schmidta był bardzo powściągliwy wobec angażowania się przeciw rządowi, który źle widział pomoc z zachodu, przeciwko rządowi w komunistycznej Polsce, ale społeczeństwo, naród niemiecki to robił. Przychodziły dziesiątki transportów, tirów do Polski z pomocą dla ludzi. To znaczy okazano zrozumienie. To nie o to chodzi, że ktoś dostał dwie paczki, bo bez tych dwóch paczek żyłby też, i te dwie paczki życia mu nie uratowały. Ale to, że ludzie dostrzegają jego sytuację, i że ci ludzie których on nie podejrzewa o dobre nastawienie, okazują się dobrzy. To jest ten proces leczenia ran, które się wtedy zablźniają. To jest dostrzeżenie.

My zaczęliśmy przeżywać dopiero w nowej Polsce, kiedy możemy mówić i odreagowywać, kiedy mogliśmy otworzyć nekropolię w Katyniu. Byłem przy tym. Kiedy można odwiedzać polskie groby na cmentarzach w dawnym Związku Sowieckim bez przeszkód, kiedy można mówić o tych sprawach to nic nie zmieni. Wiemy wszyscy, że zmarłych nic nie wskrzesi. To żyje już pokolenie ich dzieci - starych, wnuków niekiedy. Ale możliwość mówienia prawdy,

poczucia, że to jest ważne, że nasze cierpienie i doświadczenie i narodowe i pokoleniowe nie jest nieważne. Że my za to jesteśmy dzisiaj wyróżniani, medalami, odznaczeniami, że daje się jakieś dyplomy, że obchodzi się jakąś rocznicę, że księża odprawiają liturgię, że się tam gra Bacha czy Chopina i wspomina ofiary. Że to jest słuszne wspomnianie ofiar, że nasze cierpienie nie było daremne. To nadaje zupełnie inny impuls pracy wewnętrznej poszczególnych ludzi i kapłanów, nauczycieli czy działaczy społecznych - chcą tym ludziom pomóc za życia ich jeszcze z tego. Ja jestem przewodniczącym Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, która w połowie składa się z chrześcijan, w połowie z Żydów, obywateli Izraela, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Francji, Niemiec, Austrii. I jestem akceptowany przez tych ludzi - byłych więźniów, a częściowo tylko historyków już nie tego pokolenia-. Pośród dwudziestu kilku członków rady mamy 6-ciu byłych więźniów jeszcze różnych obozów. Inni już nie są byłymi więźniami, ale zajmują się tymi sprawami. Ja ciągle, na bieżąco - my się spotykamy dwa razy do roku- konfrontuję ich doniesienia - jak te problemy się przełamują w myślach. Przecież tysiące byłych więźniów - w wieku około 90-ciu lub co najmniej ponad 80-ciu lat - przyjechało do Auschwitz Birkenau w styczniu 2005 roku, ze świadomością, że dla nich już nie będzie następnej „okrągłej” rocznicy. Że po raz ostatni może w życiu przyjechali, żeby być razem. I żeby usłyszeć jak przemawiają ich koledzy - byli więźniowie. Jak przemawiają głowy państw i wyrażają im szacunek. To jest bardzo ludzka potrzeba, od dziecka, zrozumienia przez kogoś mojego problemu. To nie jest nic odrębnego od rozumienia innych problemów, tyle, że te problemy były tak koszarne, że trudno jest sprostać potrzebie tego ciepła, a z drugiej strony wyobrazić sobie nawet sposób myślenia i odczuwania tych ludzi. Byłem w kilku koszarach Bundeswehry, brałem udział w spotkaniach jako Minister spraw Zagranicznych Polski w ramach NATO z jednostkami m.in. niemieckimi i tak sobie myślałem, czy ci młodzi ludzie maszerujący byliby w stanie zrozumieć, że ja jak miałem 19, 20 lat i jeszcze kilka lat po tym, słysząc z tyłu podkute buty chowałem głowę w ramiona odruchowo. Bo jeżeli idzie z tyłu to mnie łupnie w głowę. A jak w podkutych butach to jest SS-man, to nie jest więzień. To był odruch. Ja potem sam sobie mówiłem: co ty robisz? Zauważyli to ludzie, moi koledzy, koleżanki. "Co się tak dziwnie zachowujesz?"

Sam to przechodziłem, z tego wyszedłem, bo byłem zajęty innymi sprawami, które tak mnie obciążały, przynosiły takie ryzyko, że strach się przemieścić. Ja się musiałem bać, owszem, i bałem się, ale czego innego. A potem przyszło mi w więzieniach komunistycznych walczyć o swoją niewinność i o to, żeby nie przyznać się do czynów nie popełnionych i nikogo nie obciążyć. Wtedy sobie przypominałem rozpaczliwie nie tylko modlitwy, aż tak uduchowiony nie byłem. Przypominałem sobie bardzo praktyczne rady mojego ojca, który był dyrektorem banku, który mawiał mi tak: synku, ty nigdy w życiu niczego lekkomyślnie nie podpisuj. To były dla mnie słowa, które do mnie po latach wracały, choć słyszałem to jak byłem w gimnazjum. A to było takie pouczenie ojca bankowca, żeby syn nie był lekkomyślny, żeby nie zaciągał jakichś zobowiązań, to było normalne w jego mentalności. To mi się przeniosło na nową rzeczywistość: nie, nie podpiszę, nie zrobię, nie, nie, nie. Kosztowało mnie to 18 miesięcy w piwnicy, przy nie gasnącym dzień i noc świetle, ale nie podpisałem. To metoda łagodna, bo mogli mi połamać kości, a tego nie zrobili, czyli bardzo dobrze.

Wydaje mi się, że wychodzenie z doświadczeń, przekazywanie doświadczeń, przebiega zupełnie inaczej tam, gdzie można normalnie z ludźmi dyskutować. Tak można było wychowywać ludzi w powojennej Francji, Belgii, Holandii, w Niemczech, w Austrii, czy wychowano i na ile - to inna sprawa- ale było można. U nas można było dowolnie oskarżać Hitlera To było można, ale już niczego innego nie wolno było mówić o skomplikowanych sprawach. Nie wolno było również mówić o szowinizmie, o antysemityzmie, choć ja pomagając

Żydom, tak jak ukrywający się Żydzi bałem się przecież polskiego szpicla, a nie Niemca. Niemiec w mundurze o mnie nic nie wiedział. Na czole napisane nie miałem co ja robię. A Polak mógł wiedzieć, mógł się zorientować. Nie uważałem, że większość Polaków, albo wiele Polaków tak się zachowa, ale wystarczyło, żeby się jeden tak podle zachował, abym ja trafił tam, skąd wyszedłem - i to w najlepszym razie. Bałem się realnych zagrożeń. Byłem młodym człowiekiem i patrzyłem pragmatycznie - co mi grozi. Nie wartościowałem tego w kategoriach filozoficznych, tylko w kategoriach zająca, który ucieka i który chce żyć. Dożyliśmy tego, że w roku 1986 ten były więzień Bartoszewski przemawia we Frankfurcie nad Menem, odbierając Nagrodę Pokojową Księgarstwa Niemieckiego. Przecież rozumiałem, że odbieram ja za wielu ludzi myślących podobnie i powiedziałem tak: Żyjemy w świecie, w którym mur dzieli Berlin, tak jak mur dzielił Jerozolimę i to nie jest normalny świat. Ja byłem obywatelem republiki ludowej i miałem paszport z Warszawy. I powiedziałem to publicznie, we Frankfurcie, przy kilkuset osobach i prezydencie Niemiec, i to było wydrukowane i nadawane w telewizji. To było minimum prawdy, nic więcej nie mogłem zrobić. Mogłem dać wyraz temu, że ja to widzę i że nie ma Nagrody Pokoju gdy się nie widzi warunków do pokoju, jak się nie widzi prawdy i wolności. Nie ma pokoju bez wolności, to było motto mojego wypowiedzenia się.

Zakończę te rozważania trochę osobiście, dwiema sprawami. Sposób myślenia człowieka, który chce wyjść z tego klinczu historycznego. Tak sobie myślałem i kiedyś jak był Dzień Pamięci Rodzeństwa Scholl w 1987r. przemawiałem w wielkiej auli Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana w Monachium i powiedziałem do tych studentów tak: słuchajcie, gdybym ja spotkał w Warszawie w mundurze Werhmachtu Hansa Scholla na ulicy, a był - to jest wiadomo. On myślał to co ja, on był motywowany europejsko, patriotycznie, chrześcijańsko, liberalnie, tolerancyjnie młody człowiek, ja też. Czy on mógłby ze mną rozmawiać? - nie. Bo jemu nie wolno było rozmawiać z Untermenschem jak był w mundurze niemieckim, a mnie kodeks honorowy nie pozwalał rozmawiać z Niemcem -wtedy. jakby mnie zatrzymał powinienem odpowiedzieć wykrętnie, albo "nie rozumiem" koniec, choć rozumiałem. Czyli nie byłoby takiej możliwości. Dlaczego? bo do tego doprowadziła dyktatura i nienawiść. Przepaść, która powstała między takimi nawet ludźmi jak Scholl a takimi jak ja nie była spowodowana z wyboru Scholla ani z wyboru Bartoszewskiego. Ona była spowodowana z wyboru nienawiści i traktowania ludzi według kategorii. Niemcy byli ludźmi, Polacy byli "podludźmi", Żydzi byli robactwem. Oczywiście, że "podczłowiek" jest trochę lepiej niż Ungeziefer. Praktycznie to się przekładało tak, jeżeli Niemiec w mundurze zastrzelił na ulicy Żyda nie musiał składać żadnego meldunku, jeżeli Polaka, musiał podać powód i złożyć meldunek dlaczego go zastrzelił, np. był niegrzeczny wobec niego. Bo to były stopnie. A zastrzelić mógł jednego i drugiego. Tylko inny poziom traktowania sprawy. Tak jak ktoś dzisiaj przejedzie na szosie człowieka a przejedzie kota, to jest różnica. Jak przejedzie człowieka, a nawet potrafi, to z tego jest jakiś skutek. Jak przejedzie zwierze, nawet dlatego, że nie uważał, skutku nie ma. Można sobie to tak porównawczo wyobrazić.

Druga i ostatnia sprawa, która pozwala mi z podniesioną głową rozmawiać na równi z każdym niemieckim politykiem i z każdym światowym politykiem. Nie wiem czy ktokolwiek to w tej sali pamięta (bo na ogół studenci historii nie pamiętają) kiedy Hitler przez radio oświadczył, że uznaje za nieaktualny pakt nieagresji z Polską, bo Polska „okraża Rzeszę Niemiecką”. Było to powiedziane 28 kwietnia 1939r. On to wyryczał w radio, to było u nas nadawane. A 5 maja 1939r. polski Minister Spraw Zagranicznych odpowiedział mu w polskim parlamencie, że Polska nie zna pojęcia pokoju za wszelką cenę, Najwyższą wartością dla

Polaków jest honor. I ten Minister, który był niepopularny w Polsce i który miał przeciw sobie opozycję z lewa i z prawa, dostał wiele tysięcy depeš i listów w ciągu dwóch dni. Cały naród stanął za tą postawą ówczesnego mało popularnego w Polsce rządu. 28 kwietnia roku 1995 polski Minister Spraw Zagranicznych przemawiał do Bundestagu i Bundesratu. Godzinę mówiłem w Bundestagu. To tylko ja wiedziałem, że ja przemawiam w rocznicę dnia, kiedy Hitler nas poniewierał 28 kwietnia 1939r. Uważam, że rachunek jest wyrównany. Dla mnie psychologicznie wyrównany. Moja trauma całkowicie ustąpiła. A jeżeli widzę błędy, jeżeli widzę pewne elementy utrudniające współżycie, to wynika już z kondycji ludzkiej.

Potrzebna jest normalność między naszymi narodami

Zawsze twierdziłem, że potrzebna jest normalność między naszymi narodami. Tak jak jest potrzebna normalność między Polakami a Rosjanami, jak normalny Rosjanin musi rozumieć, że Polska to nie jest „bliska zagranica”, tylko suwerenne inne państwo. Tak jak Niemiec rozumie, że Dania to jest suwerenne inne państwo i Holandia to jest suwerenne inne państwo. I żaden Niemiec przy zdrowych zmysłach - nawet prawicowy - nie powie "to jest bliska zagranica" i tam są jakieś szczególne prawa państwa niemieckiego, powiedzmy w Kopenhadze czy w Amsterdamie. To do głowy nikomu nie przychodzi. A w Rosji przychodzi im do głowy.

Drogą ku lepszej przyszłości narodów jest życzliwość, tolerancja, zrozumienie wzajemne, bynajmniej nie gorące uczucia. Jestem przeciwnikiem tej gadaniny politycznej, że wszyscy się musimy ze wszystkimi przyjaźnić. Każdy z nas ma w życiu tysiące znajomych, a ilu ma przyjaciół? Takich, którzy są nie mniej bliscy niż najbliższa rodzina. Takich, którzy nigdy nie zawiodą... Takich, do których można przyjść po 5-ciu latach w nocy i powiedzieć "słuchaj, ja mam problem". No ilu? Pięciu, trzech, dwóch - jeżeli dziesięciu, to szczęśliwy człowiek. Przyjaźń to jest proces, przyjaźń się buduje. Znajomość, tolerancja, szacunek, zachowanie godne - tak. Ja nie oczekuję w dzisiejszym pokoleniu, ani jeszcze w pokoleniu mojego syna, abyśmy się wszyscy się kochali. Wcale się nie musimy kochać. Szanujmy się, starajmy się rozumieć swój sposób myślenia, starajmy się wczuwać, jeżeli umiemy, w cudze delikatności, wrażliwości. Ludzie żenią się na ogół z wyboru i mnożą też na ogół z wyboru. A więc właśnie z wolnego, nieprzymuszonego wyboru. Wyszukuje się więzy, miłość, przyjaźń, nie na zasadzie tej politycznej poprawności, że trzeba. Może komuś smakują polityczne pocałunki Honeckera z Breżniewem, ostatnio Schroedera z Putinem. Niech się całują, jeśli ktoś tego potrzebuje, jego sprawa. Ale ja nie odczuwam potrzeby pocałunków bez wyboru. Ja bym sobie wybrał kogoś odpowiedniejszego.